TADEUSZ STYCZEŃ SDS

MIŁOŚĆ SPEŁNIENIEM WOLNOŚCI

KONIECZNOŚĆ DYSCYPLINY ŻYCIOWEJ W KONTEKŚCIE NAUCZANIA JANA PAWŁA II*

Nadzwyczaj prosta jest zasada etyki Jana Pawła II, do niedawna Karola kard. Wojtyły, zwana przez niego samego normą personalistyczną: „Osoba jest takim bytem, że jedynie właściwym do niej odniesieniem jest miłość" [1].

Godność osoby ludzkiej nie dopuszcza, by można było w jakikolwiek sposób manipulować człowiekiem, używać człowieka. Człowieka można tylko afirmować. Wszystko jedno przy tym czy chodzi o osobę drugiego, czy swoją własną. Afirmować osobę dla jej godności to miłować we właściwym dla tego słowa znaczeniu. Akt takiej afirmacji jest czynem miłości. Postawa będąca stałą gotowością spełniania takich czynów to cnota miłości. Miłość w tym znaczeniu to rdzeń dobra moralnego, istota moralnej dobroci, sedno godziwości moralnej. *Caritas est forma virtutum.* Przez miłość cnota moralna staje się m o r a l n ą cnotą. Trudno o lepszy skrót dla wyrażenia tego wszystkiego od znanej formuły św. Augustyna: „Miłuj i czyń co chcesz"! *Dilige et quod vis fac!* Trudno o formułę i regułę życia krótszą, prostszą, bardziej dosadną. Czy znaczy to również, że nic prostszego i łatwiejszego, aniżeli jej praktykowanie, stosowanie w życiu? Z pozoru może tak. Cóż prostszego, aniżeli miłować, kochać? Cóż bardziej atrakcyjnego, piękniejszego?

Czy więc do tego, by kochać, trzeba jakiejkolwiek dyscypliny, samozaparcia, ascezy, ofiary? Czy istnieje tu jakikolwiek problem? Czy miłość nie jest po prostu czymś, co samorzutnie się w człowieku niejako wyzwala w zetknięciu z wartością osoby? Czy nie wystarcza poddać się urokowi godności człowieczej, ulec fascynacji osobowego piękna, wobec którego wszelka dyscyplina wydaje się już zbędna, niepotrzebna, po pro-

---

* Artykuł niniejszy stanowi główną część wykładu *Konieczność dyscypliny życiowej w kontekście nauczania Jana Pawła II* wygłoszonego na ogólnopolskiej konferencji duszpasterzy akademickich w Niepokalanowie 20 VI 1979 r., zorganizowanej przez Komisję Episkopatu do Spraw Duszpasterstwa Akademickiego.

[1] *Miłość i odpowiedzialność.* Kraków 1960 s. 32.

stu nie *à propos*? Czy wszystkim, czego tu trzeba i co zupełnie wystarcza, nie jest dostrzeżenie tej godności, odkrycie dostojeństwa, niezrównanej wartości? Czy zatem cały problem pedagogiki moralnej nie sprowadza się do tego jednego: objawić człowiekowi człowieka, rozbudzić wrażliwość na dostojeństwo osoby, objawić osobność osoby? Czy miłość, o którą tu chodzi, nie jest nieodłącznym następstwem poznania człowieka?

Tak właśnie sądził Sokrates. Wystarczy poznać tego, o kogo tu chodzi: człowieka. GNOTI S'AUTON! „Poznaj samego siebie"! Oto czego potrzeba i wystarcza, by działać inaczej niż dotąd. Wystarcza dokonać aktu samoodkrycia, aktu samoobjawienia się sobie, by zająć zupełnie nową wobec siebie i innych postawę, aby się po prostu na nowo narodzić, owszem, aby dopiero zacząć naprawdę po ludzku żyć, być rzeczywiście człowiekiem. W klimacie tej myśli narodziło się antyczne zawołanie: „Jakże czarującą istotą jest człowiek, gdy jest człowiekiem!" Sokrates w każdym razie nie wyobrażał sobie, aby człowiek mógł pozostać obojętny wobec takiego samoodkrycia. Wierzył w jego przeobrażającą moc.

Ale czy tylko Sokrates tak uważał? Czy coś z tego zaufania do mocy poznania godności człowieka, a ogólniej godności osoby, nie pobrzmiewa w Augustynowym *Noverim me, noverim Te!* „Obym tylko się poznał, obym tylko Ciebie poznał". A starczy — chciałoby się niejako dokończyć myśl zawartą w zdaniu autora *Wyznań*. W średniowieczu Abelard z pełnym przekonaniem powtórzy orędzie moralne Sokratesa i zawarty w nim program wychowawczy, nadając swemu traktatowi etycznemu sokratejski tytuł *Scito te ipsum!* A czy w Pascalowej konkluzji rozważań na temat „trzciny myślącej": „Poznaj tedy swą godność!" nie wolno się nam również domyślać „A wystarczy" jako czegoś, co niedopowiedziane, choć zamierzone?

Czymże wreszcie jest owa lekcja pokazowa na temat tego, kim jest w swej godności człowiek; lekcja, jaką demonstruje wobec nas Bóg wydarzeniem VERBUM CARO?! Czyż „szaleństwo krzyża" nie jest jednym wielkim wołaniem: Zobacz, kim jesteś, skoro jesteś tym oto dla mnie, twego Stwórcy i Zbawcy?

Dlaczegóż by Karol Wojtyła miał inaczej uważać aniżeli Sokrates i idąca za nim w ślad filozoficzna tradycja? Czy nie wystarcza więc, by etyk stał się artystą-akuszerem, pomagającym się rodzić człowiekowi do miłości, rodzić moralnie, ułatwiając mu samoodkrycie czy to umiejętnie dobranym argumentem, obrazem, jak czynił to zresztą znowu Autor opowieści o „miłosiernym Samarytaninie"? Czy wychowawca nie powinien skoncentrować się na tym, by słuchacz „ujrzał człowieka" i ujrzawszy przeżył wstrząs „Oto człowiek!"? Czyż to nie wystarcza? Oto pytanie istotne w naszym kontekście problemowym. Jeśli bowiem samoodkrycie,

a ogólniej poznanie godności osobowej człowieka samo przez się wyzwala odpowiednią postawę moralną i z konieczności prowadzi do odpowiednich czynów, to krzewienie wiedzy o osobie i jej godności stanowi cały program wychowawczy i zastępuje wszystko inne. Także... samodyscyplinę! Wszystko inne wydaje się bowiem odtąd zbędne.

A przecież w „rachunku" samego Boga „szaleństwo krzyża" było potrzebne nie tylko po to, by odsłonić wartość człowieka, ale i cenę, jaką trzeba za nią płacić. Cenę... czego? I z jakiego powodu, trzeba ją płacić? Czy nie z tego powodu, że człowiek znając nawet doskonale swą godność, może się jej w swym działaniu przeciwstawić i faktycznie się jej często przeciwstawia?

Człowiek może, lecz nie musi być dobrym. Może się oprzeć prawdzie o swej wartości i powinności afirmowania swej godności. Może poznanej i uznanej przez siebie powinności miłowania przeciwstawić swe wolne NIE i wybrać negację miłości, będąc wezwanym i powołanym do wybrania miłości. Tę możność oparcia się powinności afirmowania swej godności zachowuje człowiek nawet mimo takiej lekcji na temat swego dostojeństwa, jaką otrzymuje od Boga w momencie, gdy On sam chyli się przed człowiekiem w geście umywania nóg: Oto kim dla mnie jesteś! Człowiek mimo to wszystko może się okazać i okazuje „niewiernym uczniem". Wniosek stąd oczywisty, że poznanie swej godności, nawet do granic zdumienia nad nią, nie stanowi ostatniego słowa programu wychowania człowieka do człowieczeństwa, wychowania do miłości.

Nie tylko o poznanie tu chodzi. Chodzi także o wolę. Jej atrybutem jest wolność. Człowiek jest wolny. Powinność moralna będąca wezwaniem do miłości jest wezwaniem człowieka do maksymalnego spełnienia wolności. Wskazuje kierunek jej najwłaściwszego życia. Bynajmniej jednak nie znosi wolności, nie wyklucza możliwości jej opacznego użycia, czyli nadużycia.

Człowiek, mimo powinności miłowania, może — nie musi — miłować. Może, nie musi afirmować swej własnej godności. Od jego wolnej decyzji zależy, czy ją zaafirmuje czynnie. Od niego zależy, czy aktem wolności powie TAK temu, czemu powiedział TAK aktem swego poznania. Człowiek jest w stanie wybrać to, o czym sam stwierdził i uznał: Nie powinienem wybrać. Straszna to możliwość, lecz realna, rzeczywista. Nie widzi człowieka ten, kto nie dostrzega tej jego możliwości. Czy Sokrates jej nie widział, czy też pragnął jej nie widzieć lub nie dopuścić? Czy nie chciał widzieć tego, o czym tak przejmująco świadczy rzymski poeta Owidiusz: *Video meliora proboque deteriora sequor?* Cóż innego znaczy ta wypowiedź, jeśli nie to właśnie: Wolnością mówię NIE temu, czemu poznaniem powiedziałem TAK.

Oto istota ludzkiego dramatu samorozdarcia! To przecież to samo „ja"

jest „ja" zarazem afirmującym i negującym to samo: godność osoby i powinność jej afirmowania. „Ja" aprobującym dogłębnie miłość jako coś, co jedynie nadaje sens istnieniu i „ja" negującym równie dogłębnie, bo z wyboru, to co jedynie sensowne: miłość. Stwierdzając własnym sądem powinność miłowania osoby uznaję, że jedynie miłość jest spełnieniem wolności. I oto posługuję się wolnością, by wybrać antymiłość i tym samym przeciwspełnienie wolności. Wybieram niewolę bezsensu. Widząc i uznając, że jedynie sensownym wyborem dla człowieka jest użycie wolności, by kochać, używam jej wbrew temu, po co ona jest. Staję się autorem bezsensu i sprawcą aktu, którym nadaję bezsensowi prawo obywatelstwa w samym sobie przy całkowitej dezaprobacie dla tego stanu rzeczy na płaszczyźnie poznania. Sam więc wprowadzam rozłam w siebie, sam jestem sprawcą bezsensu w sobie.

Widząc doskonale, że dla człowieka sprawa miłować albo nie miłować, to „usensownić się" albo napiętnować się bezsensem, to spełnić się (uzyskać pełnię życia) albo zniszczyć, to ocalić się albo zatracić, to po prostu być albo nie być, widząc to doskonale wybieram negację miłości. Z negacją miłości wybieram wszystkie pochodne tej negacji. Wybieram życie, które jest antyżyciem, czyli śmiercią duchową człowieka, żyjąc przecież nadal i musząc żyć nadal nie tylko fizycznie, lecz również moralnie związany „na życie i śmierć" z dziełem swego zniszczenia. Jestem obecny jako autor destrukcji w swej ofierze w sposób tak dogłębny, że nawet fizyczna śmierć nie jest mnie w stanie od tego związku uwolnić lub łaskawie pozwolić o nim zapomnieć. Wie o tym Sartre pisząc *Przy drzwiach zamkniętych.*

Oto stan, do jakiego się doprowadzam z wyboru, mimo całej wiedzy o tym, co jestem wart jako osoba. Przejmujące wyznanie św. Pawła „Nieszczęsny ja człowiek...!" to doświadczenie i opis tego stanu rzeczy. Nie jest to tylko przeżycie bólu z powodu nieszczęścia, które się wbrew przewidywaniom i „mimo najlepszej woli" przydarzyło. W wyznaniu tym jest samooskarżenie z powodu własnowolnego opuszczenia raju niewinności. Jest to wyznanie wygnańca, który sam się z kraju wypędził. Zaiste, nie ma większej tragedii dla istoty racjonalnej, czyli zdolnej do samowiedzy i zarazem istoty wolnej, czyli zdolnej do samostanowienia — od tej, by zakpić ze swej racjonalności swą... wolnością. Czyż można pomyśleć klęskę większą od tej? Dlatego też nie ma sprawy ludzkiej, która co do swej rangi i wagi mogłaby się mierzyć z tą właśnie sprawą.

Sprawa ta stanowi też przedmiot nie tylko najbardziej ludzkiej troski, lecz również przedmiot największej troski o człowieka dla każdego, komu jest nieobojętny los „drugiego", kto troskę o człowieka uważa za swą największą troskę. Troska ta nie może nie wyrazić się pytaniem: Co robić, aby — w sytuacji, kiedy sama wiedza o godności osoby ludz-

kiej ewidentnie nie wystarcza — dopomóc człowiekowi, by wybierał miłość i w niej samospełnienie, a nie jej negację i w tej negacji autodestrukcję? Co robić, aby człowieka uchronić przed straszną dla niego możnością użycia wolności przeciw sobie, aby go — mówiąc innym językiem — ocalić, zbawić?

Tymi pytaniami dotykamy sedna zagadnienia wyrażonego tytułem naszej dzisiejszej refleksji.

Wszystko też, co powyżej powiedziano, jest nie jedynie zapowiedzią odpowiedzi, ale już właściwie samą odpowiedzią na pytanie: Czy konieczna jest dyscyplina w życiu, samodyscyplina, kontrola nad sobą, zaparcie siebie, ofiara? Pytanie to jest retoryczne odkąd wiadomo, że samo poznanie prawdy o dostojeństwie ludzkiej osoby, nawet jasne i doskonałe, jeszcze nie wystarcza, by żyć w sposób godny, czyli postępować w sposób odpowiadający godności osobowej człowieka.

Poznanie godności osoby ludzkiej jest nieodzowne i wystarcza, aby dostrzec i przeżyć powinność jej afirmowania dla niej samej, aby doświadczyć i przeżyć powinność aktu miłości jako czegoś, co jest osobie od osoby należne. Poznanie to jednak nie wyzwala jeszcze samo przez się aktu miłości. Akt miłości jest aktem wolności. Wolności, pomimo jej ukierunkowania przez rozum w stronę wyboru miłości jako jedynie sensownego jej użycia, ciągle otwartej również na bezsens samonadużycia.

W takiej sytuacji problemem naczelnym staje się sprawa świadomej mobilizacji wszystkich energii usprawniających wolę w sposób nieodwołalny do wyboru swego prawdziwego dobra, do wyboru miłości. Jest to z drugiej strony sprawa uwrażliwienia na to, skąd mogą przyjść i przychodzą najczęściej „zagrożenia miłości", sprawa zabezpieczenia się przed manowcami nadużycia wolności.

Echa tego rozpoznania sił wrogich i konieczności mobilizacji mocy zdolnej się im przeciwstawić słyszymy w wypowiedzi człowieka, który dał wiele dowodów znajomości ludzkiego wnętrza również od strony psychologii zła, grzechu, winy. „Widzę inny zakon w członkach moich [...]". „Któż mnie wybawi [...]?". Chrześcijańska odpowiedź św. Pawła: „Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa" nie tylko nie wyklucza się, lecz dopełnia w doskonałej harmonii z inną: „Karcę swe ciało i w niewolę podbijam [...]".

W słowach tych proklamuje się nieodzowność sprężystej samodyscypliny, konieczność nabywania odpowiednich sprawności w dziedzinie woli i uczuć, dyscypliny w myśleniu i myślenia, nie wyłączając, owszem, rozciągając ją także na ciało tak dalece, jak tylko to możliwe, aby je uczynić posłusznym i sprawnym narzędziem ducha.

Teoretyczne podstawy programu wychowania do miłości, polegającego

na włączeniu sfery emocjonalnej i sfery somatycznej do dzieła samospełnienia się osoby przez miłość, kreśli Karol Wojtyła w książce *Osoba i czyn*. Program ten Autor nazywa „integracją osoby w czynie".

Sprowadza się on do tego, by człowiek stał się świadomym kierownikiem dzieła podporządkowywania poszczególnych sfer osobowego bytu ludzkiego obiektywnym funkcjom w całości tegoż bytu. Każda z tych sfer ma służyć ziszczeniu jego pełni i pełnię tę w każdym fragmencie wyrazić.

Negatywnie proces ten przejawi się w takim panowaniu woli nad poszczególnymi sferami bytu ludzkiego, które skutecznie przeciwstawi się ich tendencjom do samoabsolutyzacji, kiedy to środek do celu staje się samoistnym celem, naruszając tym samym całościowy ład osobowego bytu ludzkiego. Wiadomo przecież, że istnieją w nas również odśrodkowe niejako tendencje zarówno w sferze somatycznej, jak emocjonalnej, usiłujące niekiedy zdominować wszystko inne kosztem obiektywnej prawdy o hierarchicznej strukturze bytu ludzkiego i z przekreśleniem jego osobowej godności.

Wszystko to wymaga właśnie ogromnej mobilizacji woli, jej nieustannego pogotowia. Tylko ta stała gotowość może zagwarantować „panowanie ducha nad ciałem" i doprowadzić do dojrzałości osoby w miłości. Niekiedy dopiero olbrzymi trud i długotrwałe zmaganie doprowadzają do stworzenia skutecznej zapory przeciw inwazji dezintegrujących sił pochodzących w końcu z „wnętrza" człowieka.

Ten trud włożony w wypracowanie potrzebnych usprawnień woli okazuje się nieodzowną ceną, jaką trzeba zapłacić, aby zagwarantować panowanie godnościowego piętna i piękna na wszelkich poziomach złożonego dynamizmu osoby ludzkiej, osobowego piętna i piękna w każdym jej fragmencie i przejawie. Dopiero dzięki temu trudowi człowiek staje się faktycznie tym, kim winien się stać: panem siebie samego poprzez poddanie się całkowite prawdzie o swej godności, panem w służbie godności osoby, czyli panem poprzez dojrzałą miłość. Samospełnienie, pełnia osoby to owoc tego samopanowania w miłości.

W tym też sensie „spełnieniem wolności jest miłość". Nie ma ona nic wspólnego ze samowolą czy swawolą. Okazuje się zresztą, że wolność nie licząca się z prawdą o osobie ludzkiej najskuteczniej prowadzi do swego samozaprzeczenia, do niewoli poprzez samowolę.

Pisana człowiekowi jako osobie pełnia — to pełnia wolności, która urzeczywistnia się w dojrzałej miłości. Miłość to niełatwa. Jest ona dobrem trudnym. *Bonum arduum*. Coś dla „gwałtowników", nie dla ludzi „w miękkie szaty przyodzianych". Czyż jednak nie ten właśnie los jest zadany osobie jako osobie?

Nie niewola ni wolność
Są w stanie uszczęśliwić cię,
Nie, tyś o s o b ą!
Dziedzictwem twym — panowanie
Nad wszystkim w świecie
I nad sobą...

To ostatnia strofa utworu poetyckiego K. C. Norwida, którego tytuł *Królestwo* w sposób zdumiewający antycypuje istotę nauki Soboru Watykańskiego II o wolności człowieka jako „służbie króla" *(munus regale)*, nauki, w której formułowaniu nie da się ukryć udziału Autora *Osoby i czynu*.

Być dla człowieka, to panować. Ale panować dla człowieka, to poddawać się prawdzie o swej godności, to dojrzewać w miłości. Tylko „prawda wyzwala". Wszelki fałsz zniewala. Wolność jest człowiekowi dana i zarazem zadana. Dana jest, aby uzyskał jej pełnię poprzez miłość, która — jak widzieliśmy — jest osiągalna tylko za cenę „podbijania ciała w niewolę ducha", za cenę umiarkowania, męstwa...

Czy zatem cały nurt sokratejski w pedagogice, stawiający przede wszystkim na uwrażliwienie człowieka na swą godność, jest programem chybionym? Bynajmniej! Jest niewystarczalny, co wcale nie znaczy, że nie jest nieodzowny. Sokrates nie doceniał należycie rzeczywistej kondycji bytu ludzkiego. Rzeczywista *condition humaine* wymaga od człowieka samodyscypliny, aby się nie zagubił w antymiłości.

Błąd sokratejskiego programu wychowania polega na uznaniu tego, co nieodzowne dla miłości za jej warunek wystarczający. To jednak, co jeszcze nie wystarcza samo przez się, nie przestaje wcale być warunkiem koniecznym rzetelnej, dojrzałej miłości, warunkiem wychowania i samowychowania ku pełni człowieczeństwa. Dopiero bowiem pełna świadomość godności osobowej człowieka ujawnia całą rację bytu i cały sens ascezy, dyscypliny życiowej. Dzięki odkryciu swej godności i godności drugich dopiero w i e m, w i m i ę c z e g o i p o c o warto i trzeba się trudzić, brać w karby i „ciało w niewolę podbijać". Widzę jasno sens, dla którego trzeba wymagać od siebie. Jasna wizja godności osobowej człowieka urasta tu więc do rangi źródła entuzjazmu, który jest w stanie niejako uskrzydlić ciężar wysiłku, trudu, ofiary.

Czy nie to właśnie chciał powiedzieć Chrystus wskazując, że brzemię podjęte w Jego imię staje się lekkie, nie przestając przecież być brzemieniem; ciężar staje się słodki, nie przestając znowu być ciężarem. Dostrzeganie sensu ofiary, dostrzeganie sensu „trudnej miłości" sprawia, że to, co się wydawało nie do uniesienia, można unieść „na skrzydłach" poczucia sensu podjęcia „krzyża".

Ciężarem jest miłość! Jest przecież „ciężarna" czymś, co unosi! *Amor meus pondus meum. Eo feror quocumque feror!* Unosi mnie to, czego

ciężar zdecydowałem się udźwignąć. Oto formuła jednocząca w integralną całość rozdzielane często elementy programu wychowania do człowieczej pełni, czyli programu wychowania do miłości.

Program ten ukazuje źródło entuzjazmu. Nie łudzi jednak iluzjami. Owszem, z góry przed nimi przestrzega. Każe liczyć się z ceną, jaką trzeba zapłacić za dojrzałą miłość. To coś, jak wspomniano, dla „gwałtowników". Bez zdecydowania się na tego rodzaju gotowość nie ma drogi do pełni człowieczeństwa.

Wskazując konieczność samodyscypliny, zaparcia, program ten nie hołduje przecież idei atletyzmu cnoty, idei kultu sprawności dla sprawności. Unikając skrajności estetyzmu mamienia się nic nie kosztującą pseudomiłością „rodzaju ludzkiego" (zob. pani Chochłakow w powieści *Bracia Karamazow* F. Dostojewskiego), dystansuje się również od hołdowania idei cierpienia dla cierpienia.

Proponowany program wychowania bazuje z jednej na strony na odczytaniu rzeczywistej godności przysługującej człowiekowi, a z drugiej strony na uwzględnieniu tego wszystkiego, co tejże godności rzeczywiście zagraża. Ukazując człowiekowi jego dostojeństwo w perspektywie tego, co sam Bóg był gotów za nią „zapłacić", wzywa do stałego pogotowia woli w mobilizowaniu wszystkich sił, ofiar i cierpień nie wykluczając, dla dojrzewania w tak pojętej miłości.

Program ten każe wpisać trud, zaparcie samego siebie w program życia, ukazując sens, w imię którego warto się trudzić i wyrzekać. Jest to program ukazujący, jakiej ceny domaga się miłość, i wskazujący, że miłość warta jest tej ceny. Cena ta jest ceną służby. Lecz jest to służba pana, królewska służba, *munus regale*.